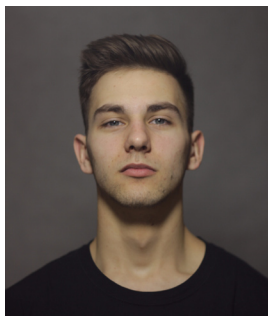


# Pod jednym DACH-em

## Spis treści

|                                                                                                                     |    |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Od Redakcji .....                                                                                                   | 3  |
| <b>Kultura</b>                                                                                                      |    |
| <i>Adrianna Woźniak</i> , Baśnie. Czy wciąż działa na nas ich magia? .....                                          | 3  |
| <i>Judyta Wolniaczyk</i> , Wesele huczne inaczej .....                                                              | 5  |
| <i>Klaudia Więckowicz</i> , "Brace yourselves, the gates are opening!" OR How I survived Krakow Live Festival ..... | 6  |
| <i>Konrad Kozanecki</i> , Kilka słów o starszej pani .....                                                          | 7  |
| <i>Michał Rudzik</i> , Von wem wird der Fußball begraben? .....                                                     | 8  |
| <b>Miejsca</b>                                                                                                      |    |
| <i>Agata Michnowska</i> , Berlin inaczej .....                                                                      | 8  |
| <i>Aleksandra Danielek</i> , Zu Besuch bei Café Tomaselli .....                                                     | 9  |
| <i>A. W.</i> , Juist – Das Zauberland .....                                                                         | 10 |
| <i>Helena Skiba</i> , U podnóży Kaukazu .....                                                                       | 11 |
| <b>Konfrontacja zwyczajów</b>                                                                                       |    |
| <i>Zuzanna Raczkowska</i> , Polak i Niemiec kontra czas .....                                                       | 13 |
| <b>Studenckie rozterki</b>                                                                                          |    |
| <i>Alicja Kierończyk</i> , Ja już to przeżyłam, czyli o tym, że istnieje życie po poprawce .....                    | 15 |
| <b>Twórczość po godzinach</b>                                                                                       |    |
| <i>Łukasz Piątkowski</i> , Pechowy dzień .....                                                                      | 16 |
| <b>Dla smaku</b>                                                                                                    |    |
| <i>Agata Michnowska</i> , Kaiserschmarrn czyli austriacki omlet cesarski .....                                      | 18 |





## Drogie Czytelniczki, Drodzy Czytelnicy!

Zgodnie z niemieckim hasłem „Po pracy znaczy przed pracą” (Nach der Arbeit ist vor der Arbeit) przystępujemy natychmiast po wydaniu tego numeru do działań mających na celu rozwój naszego czasopisma. W grupie KULT(ur)OWEGO Koła Naukowego pojawiają się coraz to ciekawsze pomysły na rozbudowę projektu. W planach mamy m.in. nowy układ graficzny oraz przyjęcie **pod jeden dach** większego grona autorów. Bierzymy również udział w szkoleniach, by *Pod Jednym DACH-em* osiągało wyższe poziomy atrakcyjności.

W marcu 2017 roku mieliśmy okazję uczestniczyć w warsztacie dziennikarskim zorganizowanym przez

redakcję gazety uczelnianej Fenestra z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa. Spotkanie poprowadził pan Grzegorz Iwasiuta, jej redaktor naczelny. Podczas spotkania omówiliśmy najważniejsze sprawy związane z wydawaniem gazety uczelnianej, a także niedociągnięcia, które pojawiły się w dotychczas wydanych numerach „Pod jednym DACH-em”. Co ciekawe, uczylimy się dosłownie na własnych błędach. Na przygotowanej przez pana Grzegorza prezentacji znalazły się nasze teksty z zaznaczonymi fragmentami, które wymagały poprawek. Omówione zostały kwestie tytułów, śródtytułów, jednolitego zapisu wywiadów, stylistyki tekstów, zadania korektora, a nawet błędy interpunkcyjne. Warsztat uświadomił nam, jak wiele jeszcze pracy przed nami. Za jego zorganizowanie dziękujemy członkini naszego Koła – Judycie Wolniaczyk.

Pracy przybywa, a najaktywniejsi z nas pożegnali się KKN, kończąc studia magisterskie na Wydziale Neofilologii UAM. W imieniu całego Koła chciałbym serdecznie podziękować za dotychczasowe zaangażowanie w pracę redakcji Edycie Paterek oraz Łukaszowi Piątkowskiemu. A Was zapraszam do lektury czwartego numeru *Pod Jednym DACH-em*!

**Michał Rudzik**

Adrianna Woźniak

## Baśnie. Czy wciąż działa na nas ich magia?

Chyba nie ma osoby, która nie znałaby baśni<sup>1</sup> niemieckich braci Grimm, jednak czy równie dobrze znamy okoliczności ich powstawania i cele, które przyświecały ich autorom? Zanim jednak rozpoczniemy te rozważania, warto wspomnieć, iż nie są to jedyne wersje znanych nam baśni. Otóż, w różnych regionach Europy, w zbliżonym czasie spisywano nader zbliżone baśnie ludowe; w XVII wiecznej Francji czynił to Charles Perrault, we Włoszech – Giambattista Basile, natomiast w Niemczech, pod koniec XVIII wieku, uwiecznianiem popularnych historii ku ucieście dorosłych czytelników zajmowali się bracia Grimm. Dopiero duża popularność historii wśród dzieci sprawiła, że mniej lub bardziej krwawe i poprawne politycznie<sup>2</sup> zostały dopasowane do potrzeb małych odbiorców i ponownie okrojone ze swej brutalnej warstwy. Warto zatem

sięgnąć zarówno do starszych wersji, jak zdążyłam się przekonać, trudno dostępnych<sup>3</sup>, pochodzących z Francji i Włoch, aby poprzez ich porównanie móc opisać cenzurę, której podlegały historie znane z naszego dzieciństwa.

Przejdźmy zatem do samych braci, Jacoba i Wilhelma Grimm. Dobrze wykształceni, twórcy podwalin niemieckiego językoznawstwa, zajęli się spisywaniem baśni, aby utrwalić ginącą powoli tradycję hesyjskich opowieści. Wydaje się, że ich cel został osiągnięty, gdyż ich historie są obecnie opowiadane dzieciom na całym świecie, a pisarze i scenarzyści dokładają wszelkich starań, aby „uaktualnić” klasyczne wersje (jednym z przykładów godnych polecenia jest książka Carmen Martín Gaité *Kapturek na Manhattanie*, czy nagradzany na festiwalu w San Sebastian film Pablo Bergera *Śnieżka* z 2012 roku) i dostosować je na powrót do potrzeb nieco starszych odbiorców.

W jednym z artykułów dotyczących ostatniego bajkowego „boomu” na łamach dziennika *La Vanguardia* Salvador Llopard<sup>4</sup> wysuwa tezę, że baśnie „przypominają nam, iż nadzieja jest ostatnim, co powinniśmy

<sup>1</sup> Nader istotne okazuje się rozróżnienie między baśnią a bajką, która, jak wiemy, jest odmienną formą literacką.

<sup>2</sup> W jednej z wersji „Śpiącej Królowej” mamy do czynienia ze sceną gwałtu na śpiącej, dokonanego przez żonatego króla, w innej gwałt zastąpiony jest pocałunkiem, natomiast król zastąpiony jest księciem, jednak ciąg dalszy (o którym rzadko pamiętamy) pozostaje bardzo zbliżony: zazdrosna żona/zła teściowa chce śmierci Królowej i jej dzieci, ostatecznie jednak zostaje unicestwiona.

<sup>3</sup> Zdarza się, że podpisane jako teksty Perrault są wersje dalece odmienne od oryginału; najbliższe wersjom francuskim znalazłam na stronie [www.basnie.republika.pl](http://www.basnie.republika.pl).

<sup>4</sup> Llopard, Salvador (2012): *El cine y la televisión recuperan los cuentos de hadas*, w: „La Vanguardia”, <http://www.lavanguardia.com/cine/20120323/54275324745/cine-television-recuperan-cuentos-hadas.html>.

utracić i dlatego tak bardzo lubimy magię”<sup>5</sup>. Wydaje mi się jednak, że baśnie często wykorzystywane są (nieświadomie) jako narzędzie w procesie socjalizacji najmłodszych. Bruno Bettelheim, znany psycholog i psychoanalityk, autor książki *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni* (1977, *The Uses of Enchantment. The Meaning and Importance of Fairy Tales*) uważał, iż baśnie pomagają dzieciom zrozumieć zachodzące w nich procesy, dylematy i nie ma znaczenia, jakiej płci jest protagonista danej historii, gdyż „dzieci wiedzą, że niezależnie od płci bohatera historia dotyczy jego własnych problemów” (Bettelheim, 1975: 266). I tak, jak pierwsza część nie budzi zbyt wielu sprzeciwów, ostatnio spore dyskusje wywołuje płęć bohaterów i reprezentowane przez nich postawy. Czy kilkuletnie dziecko naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, że nie tylko książę może być mężny i waleczny, a księżniczka nie tylko piękna, ale że podane cechy mogą dotyczyć obu płci? Agnieszka Suchowierska i Wojciech Eichelberger postanowili sprawdzić, jak wyglądałyby tradycyjne baśnie, gdyby zmieniona została płęć ich bohaterów. Wyniki są przezabawne: pojawia się między innymi pięknoty książę wykorzystywany przez krasnoludki do sprzątanego domu, podczas gdy one... zajmują się swoimi sprawami. Każda baśń w książce *Królewicz Śnieżek. Baśniowe stereotypy płci* (2012) opatrzona jest rozległym komentarzem, pomagającym zrozumieć zamiar autorki. Całość pokazuje, jak głęboko w naszej kulturze zakorzenione są stereotypowe role kobiece i męskie, które znajdują swoje odzwierciedlenie właśnie w baśniach. Przecież to baśnie powstawały w określonym kontekście społecznym, nie na odwrót. Mamy zatem do czynienia z pewnego rodzaju lustrem, które wyodrębia wybrane cechy naszego społeczeństwa. Często baśnie pełniły też funkcję „podręcznika”, czy spisu reguł, które dotyczyły młodych panienek. Morał na końcu *Czerwonego Kapturka* Charlesa Perrault mówi wprost, że chodzi o młodych kawalerów, chcących zwieść naiwne pan-ny.

Pogwarki wprowadzie miła chwilka, lecz blisko stąd do pasz-  
czy wilka.  
Radzę wam zapamiętać,  
że jest podstępny wilk niektóry:  
ukrywa wilcze swe pazury,  
by słodkim słówkiem zwieść dziewczęta. Ani go poznać!  
Mina święta tkliwie, łagodnie patrzy w oczy,  
za panną uliczkami kroczy przymilny, słodki jak cukierek.  
Lecz wierzcie: to wilczyśko szczerze!<sup>6</sup>

Nie ma nic złego w pouczeniach dotyczących bezpieczeństwa, jednak nie tylko tego typu treści są nam wpajane przez baśnie. W większości kobieta w ba-

śniach przedstawiana jest jako pasywna, oczekująca na wyzwolenie i bezpieczne zamknięcie w kolejnym więzieniu, specjalizująca się w sprzątaniu, piękna panienka. Są też „czarne charaktery”, reprezentowane zwykle przez macochy, co buduje kolejny negatywny stereotyp, lub złe i (oczywiście) brzydsze przyrodnie siostry. W ten sposób nie tylko automatycznie asocjujemy dobro z pięknem i brzydotę ze złem, ale przede wszystkim przyswajamy role społeczne. Jest to krzywdzące nie tylko dla dziewczynek, sprowadzonych w klasycznych baśniach do roli pięknej, cichej i potulnej sprzątaczk, ale i dla mężczyzn.

[...] mężczyźni są ofiarami swojej własnej legendy. Mitu nieczułego, silnego wojownika, macho, supermana, który musi zaprzeczyć wrażliwemu chłopcu w sobie. Zabić go. Chociaż na szczęście nie da się go całkiem unicestwić.<sup>7</sup>

Warto się teraz zastanowić, ile razy słyszymy, że „chłopcy nie płaczą”, czy „nie bądź babą”? Ile razy słyszymy, że powinniśmy się bardziej starać, być bardziej kobiece, żeby wreszcie znaleźć swojego księcia z bajki? Czy celem życia mężczyzny jest ratowanie kobiet z opresji?<sup>8</sup> Czy nie są to motywy przekalkowane z baśni do naszego życia?

Reasumując, teksty, o których niejednokrotnie mówimy z przymrużeniem oka, postrzegając je jako banalną, dziecięcą rozrywkę, są istotnym czynnikiem wpływającym na nasz rozwój. Przytoczone tutaj przykłady są tylko małą próbką prowadzonej na nas przy pomocy baśni „socjalizacji”. Wielu współczesnych autorów zadaje sobie pytanie, jak można przepisać baśnie, aby dostosować je do zmieniającego się świata, ukazać w nich nowe funkcje społeczne kobiet i mężczyzn<sup>9</sup>. Zadania tego podejmują się głównie pisarki, jak np. wspomniana wcześniej Carmen Martín Gaité czy Lucía Etxebarria<sup>10</sup>, która podczas wakacji z córką postanowiła napisać baśnie dla dziewczynek i chłopców, w których odchodzi się od stereotypów. Baśnie pozostają jednak opowieściami wielowarstwowymi, w których każdy z nas, niezależnie od wieku, może znaleźć coś dla siebie, gdyż jak pisał sam Tolkien:

Jest w nich cała szczęśliwość bestii i ptaków, niekończących się mórz i gwiazd niezliczonych; piękno które oślepią i wiecznie obecne niebezpieczeństwo.<sup>11</sup>

<sup>7</sup> Suchowierska, Agnieszka; Eichelberger, Wojciech (2012): *Królewicz Śnieżek. Baśniowe stereotypy płci*. Wyd. Czarna Owca, s. 118.

<sup>8</sup> Pomoc jest jednak mile widziana, gdyż ze względu na różnice w budowie ciała są czynności, które łatwiej jest wykonać mężczyźnie niż kobiecie, jednak nie można powiedzieć, że kobieta nie jest w stanie ich wykonać, po prostu będzie to wymagało od niej większego wysiłku.

<sup>9</sup> Nowe, gdyż baśnie takie, jakimi je znamy, pochodzą z XVIII wieku.

<sup>10</sup> *Cuentos clásicos para chicas modernas*, 2013.

<sup>11</sup> Tolkien, J.R.R. (2005): *Sobre el cuento de hadas*, <http://ciudadseva.com/texto/sobre-el-cuento-de-hadas/>

<sup>5</sup> Jeśli nie podano inaczej w informacji bibliograficznej, wszystkie teksty obcojęzyczne tłumaczeniu autorki.

<sup>6</sup> Perrault, Charles (b.d.): *Czerwony Kapturek*, <http://www.basnie.republika.pl/czkaptk.htm>.

Judyta Wolniaczyk

## Wesele huczne inaczej

Spektakl teatralny w reżyserii Agaty Dudy-Gracz nie zapowiada swym tytułem tego, co tak naprawdę można zobaczyć na scenie. „Będzie pani zadowolona, czyli rzecz o ostatnim weselu we wsi Kamyk” nie brzmi złowieszczo, chyba że skupimy się na słowie „ostatni”, które wnosi odrobinę grozy, choć nie w takim stopniu, w jakim objawia się ona podczas oglądania sztuki.

Wszystko rozpoczyna się – można by powiedzieć – sielankowo. Aktorzy wcielają się w swoje postacie już od samego progu – i to dosłownie. Publiczność jest przez nich witana niczym na prawdziwym polskim weselu, chcąc nie chcąc stajemy się gośćmi tegoż przedsięwzięcia. Dlaczego nie chcąc? A któż chciałby znaleźć się na weselu, na którym nic nie jest takie, jakie być powinno i które tylko pozornie stanowi główny element spektaklu? Tak naprawdę jest ono jedynie tłem pozwalającym przybliżyć widzowi to, co dzieje się we wsi Kamyk – nadciągające tragedie, które wywołują kolejne i są napędzane przez mieszkańców, którzy tkwiąc w tym błędnym kole wspomagają czające się wśród nich zło.

Kiedy jednak orientujemy się, że z weselem jest coś nie tak, że na pewno nie potoczy się ono w takim kierunku, w jakim powinno potoczyć się każde wesele? W momencie, kiedy na scenie pojawia się obraz rzezi, jakiej dokonano na bracie panny młodej – Ryciu. Zunia i jej matka domagają się sprawiedliwości za dokonaną zbrodnię – kary, która miałaby zostać wymierzona w ramach podarunku weselnego. Któż w tak radosnych chwilach, jak wesele, może pomyśleć o czymś tak równie niedorzecznym? A jest to zaledwie początek. Wesele cały czas nawiedzane jest przez omeny zła i niesprawiedliwości z przeszłości. Każdy z mieszkańców wsi, który na nie przybył, został w swoim życiu w pewien sposób pokrzywdzony i podczas biesiady dzieli się swoją historią z widzami. Przeszłość ta nie pozostaje obojętna w stosunku do wydarzeń obecnych – wyjaśnia teraźniejszość, która bez odpowiedniego tła wydawałaby się pozbawiona sensu.

Jeśli chodzi o grę aktorską, to bez wątpienia uwagę zwraca postać Widzącej, która we wsi uznawana jest za czarownicę. Większość uznaje jej diabelskie moce za zabobon, ale mimo wszystko obawia się jej. Nie ma się czemu dziwić. Również w odbiorcach może ona wzbudzić strach. Nie ulega jednak wątpliwości, że jest to postać znacząca – stanowi łącznik pomiędzy tym, co tu i teraz, oraz tym, co do tego doprowadziło. Wraz z pojawieniem się na scenie Widzącej – oraz jej niesamowitego wokalu – wkracza niepokój, tajemniczość i spodziewana nikczemność. Jednak należy docenić również pozostałych aktorów, którzy z oddaniem wcielili się w swoje postacie. Każdy wykreowany bohater jest niepowtarzalny, a jego historia jest na tyle przekonująca, że widz zaczyna z nim współodczuwać i próbuje zrozumieć motywy jego postępowania.

Uwagę przyciąga także prostota scenografii. Stanowią ją zaledwie stoły, krzesła oraz zasłony, które w momentach grozy są poruszane przez wiatr. Wraz z odpowiednią grą światłem oddaje ona idealnie aurę przedstawianych wydarzeń.

Również zakończenie spektaklu pozostawia wiele pytań i zagadek. Opuszczając salę można odczuć pewien niedosyt. Sztuka kończy się wymierzeniem przez panią Pecię (matkę panny młodej) kary na mężczyznach odpowiedzialnych za śmierć Rycia. Chwilę po tym postacie zastygają w bezruchu i aż do końca słyszymy okrzyk pana Idzika, który niczym katarynka powtarza „Sprawiedliwość!”.

Rodzi się jednak pytanie, czym tak naprawdę była sprawiedliwość i czy wymierzanie jej nie było jedynie pozorne. Mieszkańcy wsi Kamyk chcieli ją wymierzać samodzielnie, nie dążyli do poznania prawdy, a jedynie skupiali się na ukaraniu tych, którzy w ich mniemaniu zawinili jako pierwsi, co prowadziło do kolejnych tragedii. Zastanowić się można, czy my, jako ludzie, nie czynimy tego samego i czy całe widowisko nie opowiada w pewien sposób o nas. Groteskowe obrazy, które są nam dawkowane, mogą jedynie potwierdzić tę teorię. Chociażby tak zdawałoby się niepozorne momenty, jak kradzież weselnej kiełbasy, czy też opowieść o rosole. Czy nie świadczy to o naszym społeczeństwie? Czy nie dążymy jedynie do własnej korzyści? Czy nie dajemy się zwieść pochwałom? I czy też sceny sądu, które przedstawiają zeznania pana Idzika, nie oddają w pewien sposób mentalności człowieka oraz tego, w jaki sposób chce lub też udaje, że postrzega świat? Pokazuje to naszą obłudę oraz to, że wyrzekniemy się wszystkiego, co jest nam niewygodne i mogłoby nam zaszkodzić, a tym samym ocenimy powierzchownie każdego i wszystko, byleby udowodnić swoją rację. Taka będzie dla nas sprawiedliwość – dla każdego z osobna odmienna.

Oczywiście, każdy może rozumieć sztukę Agaty Dudy-Gracz inaczej, interpretacji może powstać tak wiele, jak wielu ludzi ją zobaczyło. Właśnie to świadczy o otwartym charakterze spektaklu. Wiele wątków wymaga od widza przemyśleń i samodzielnego znalezienia ich sensu. Szczególnie zakończenie może zostać odebrane na wiele sposobów, co świadczy o pewnej uniwersalności całości i możliwości odmiennej percepcji dzieła, uzależnionej od okoliczności.

Klaudia Więckowicz

## **“Brace yourselves, the gates are opening!” OR How I survived Krakow Live Festival**

When summer comes, all kinds of festivals spring up like mushrooms after the rain. That's a fact. Music festivals enjoy the greatest popularity among them. That's also a fact. You always get the perfect weather and never meet any road traffic on your festival day. That's....a wild guess, at best. Rather, a hopeless wish. There's a written law by Edward Murphy that says: “Anything that can go wrong, will go wrong.” Every so often it comes true, but I was lucky enough not to experience the best of my bad luck during this year's Krakow Live Festival.

Krakow Live Music Festival is a renowned version of Live Music Festival, previously known as Coke Live Festival. However, when in 2014 Coca-Cola Company resigned from being its principal sponsor, the organisers were forced to take a year break. In 2015 the festival has made a comeback with a new name and more alternative choice of artists.

How can you tell that someone's going to the festival? That is, apart from being exceptionally “hipsterly” dressed? Just look at their wrists. Being available one day before the start of the festival, beautifully designed wristbands could be exchanged for the tickets. A custom adapted from many other festivals. Designed in pretty pastel colours, the wristbands to this day adorn my everyday outfits. This way everyone will know that I've been there and had the time of my life. I like to brag about that whenever someone says my summer was boring.

18<sup>th</sup> and 19<sup>th</sup> of August. These two days couldn't be anymore different from each other. The first day of the festival was the hottest day in the whole summer, reaching the fever pitch. No wonder, that when I saw the queue before the festival gates, I thought it was just a fatamorgana. Unfortunately, I was wrong. Tailgating is an inevitable part of any festival, so it's always worth to save yourself a place earlier, so you wouldn't miss your favourite artist performing. Especially, if your friend decides to get the last-minute tattoo, because WHY NOT (the tattoo looks awesome by the way, she has no regrets).

The first artist of that day was Birdy, whose performance moved my heart and tied stomach in knots. She opened her show with the well known “People help the people” and later did a cover of “Young Blood” by Naked & The Famous. Personally, I even shed a few tears, but my sunglasses kept them hidden from anyone else. After her, came the trap-rap star Travis Scott

and the crowd went wild, shouting and making its own version of pogo. The cheers went even louder when he invited a handicapped boy on the stage to sing with him. It is said, that he does that almost every time. Afterwards, it was a good chance to grab something cool to drink. Unless you already died of heat waiting in the queue. Then we entered a more indie atmosphere with crazy light-effects and enchanting sounds by Alt-J, which were most befitting the dark sky. They hit most of their well-known songs such as “Breezeblocks” or “Matilda”, which is dedicated to the character from an old movie “Leon: the professional”. The main artist of the day, however, was pop singer Ellie Goulding. She immediately grabbed the crowd's mood and brought fresh energy in that tiring day. Her show was the real kaleidoscope spectrum. She cried while playing an acoustic guitar, had some fun with her little choir, danced around with balloons and reminded us that we can be loved. Aww, thank you Ellie for these little moments.

The following day was a 180 degrees turn over. If you asked for the rain, you got it. But I'm pretty sure that nobody wished for the flood that came over the grassy field, where the festival took place. I had an ugly brown raincoat on (which made me look like a little potato), but it didn't prevent me from soaking wet all over. That day's show was opened by Chet Faker (currently more known as a Nick Murphy, his real name). I'd like to say that he looked overpowering on stage, but I couldn't see a thing for a wall of umbrellas, who kept on hitting me in the face. Honestly people, don't do that. Just grab a raincoat next time, you'll have just as much fun. Having enough of this disturbance, I left the crowd and decided to jump and dance around nearby. Surprisingly, it seems I was the only one and even got recorded on phone by some people (if you've seen a short girl with an ugly coat – that was me). Then came on the real swagger – Wiz Khalifa himself, already in...high spirits. There was not one single person, who wasn't screaming his or her lungs out and dancing like the world was about to end. That was a real masterwork on the artist's behalf to reinforce such pure energy. Then last, but not least came onward Lana Del Rey, who was without the doubt the most awaited headliner. Never before have I heard so many voices sing in unison. It was truly an empowering hour, filled with Lana's beautiful voice and many remarks about how lucky she was to be there. You could think it should be the other way around!

All in all, I consider this festival to be the most “lucky” – no bones broken, no technical accidents. Apart from the traffic, and queues and the weather – everything was perfect. But, what's a music festival without those, right?

Konrad Kozanecki

## Kilka słów o starszej pani

Po zapoznaniu się z treścią dramatu Friedricha Dürrenmatta *Wizyta starszej pani* można odnieść wrażenie, że wydźwięk całego utworu skupia się na znanej od czasów antycznych problematyce sprawiedliwości, kary i zemsty. Claire Zachanassian, niegdysiejsza mieszkanka podupadłej miejscowości Güllen, powraca w rodzinne strony, przywożąc ze sobą ogromny majątek, który udało jej się zgromadzić głównie za pomocą korzystnie zawieranych małżeństw. Jest owacyjnie witana przez tutejszą społeczność, oczekującą od miliardarki finansowego wsparcia. Sama bohaterka jest właściwie gotowa podzielić się swoim bogactwem, stawia jednak warunek – jej ukochany z lat młodzieńczych, który delikatnie rzecz ujmując zachował się wobec niej wyjątkowo podle, ma zostać surowo ukarany przez mieszkańców Güllen. Oczywiście odmawiają oni wykonania „hańbiącego” ich wspólnotę wyroku i na tym właściwie mogliśmy skończyć rozważania, gdyby nie fakt, że Alfred zostaje ostatecznie zamordowany, a tytułowej „starszej pani” udaje się „kupić sobie sprawiedliwość”.

Zastanówmy się jednak, czym właściwie jest „sprawiedliwość”. Słownik języka polskiego definiuje ją jako „uczciwe, prawe postępowanie”. Trudno chyba w tych kategoriach rozpatrywać działania Klary i Alfreda. On wyrzekł się swojego związku z Klarą oraz splodzonego z nią dziecka, poniżył ją i właściwie zmusił do prostytuowania się. Wyrok, który przed laty wydał na kochankę, sprowadził na nią los okrutny, i gdyby nie fakt, że wszystkie te wydarzenia otworzyły przed nią nowe perspektywy (jakkolwiek gruboskórnie to zabrzmiało), nie mielibyśmy wątpliwości, w jaki sposób należy rozpatrywać postawy głównych bohaterów. Ona zaś, dorobiwszy się fortuny i zaplanowawszy „wymierzenie sprawiedliwości”, sama wydała wyrok na oprawcę-kochankę. Sposób, w jaki zamierza go wyegzekwować, sprawia jednak, że trudno dopatrywać się w jej postępowaniu śladów sprawiedliwości, a jedyne, co nią kieruje, to chęć zemsty. Niejako odwraca to moralny konstrukt dramatu, gdyż stawia Alfreda w pozycji ofiary knoń „starszej pani”, jawiącej się jako postać wszechmogąca, decydująca o losach jednostki i kierująca się przy tym „jedynie” własnym oglądem spraw.

Z drugiej jednak strony, śledząc losy bohaterów nie sposób zapominać o tym, co spotkało Klarę w przeszłości i jednocześnie zadecydowało o tym, że znalazła się w tej a nie innej roli. Odmówiono jej sprawiedliwości, gdy była „tylko” częścią społeczności, człowiekiem, który jak niemal wszyscy podporządkowani są „rzeczywistości”. Gdyby nie to, że udało jej się osiągnąć finansową niezależność, pewnie nie mogłaby powrócić do kwestii ewentualnego rozliczenia wydarzeń z przeszłości. Nie powinniśmy zatem oceniać jej postawy tylko i wyłącznie przez pryzmat tego, że „sprawiedliwości nie da się kupić”, że to, czego się domaga, nazwalibyśmy najchętniej bezprawiem, bo trudno przecież samosąd nazwać wymierneniem sprawiedliwości. Przynajmniej nie w sensie prawnym. To, co udało jej się zdobyć przez całe życie, pozwala jej – wraz z powrotem do rodzinnego miasteczka – na sięgnięcie po to, czego jej niegdyś odmówiono. Możemy się łudzić, że „prawdziwa” sprawiedliwość jest wartością bezcenną, niedającą zmierzyć się żadną walutą. Prawda jest jednak taka, że żyjąc w społeczeństwie konsumpcyjnym, pełnym zakłamania i hipokryzji, jedyną sprawiedliwością, na jaką może liczyć „starsza pani” – i na jaką może liczyć każdy z nas – jest ta sprawiedliwość, po którą sami jesteśmy w stanie sięgnąć.

Zastanówmy się zatem, czy głównym elementem problematyki utworu nie jest sama „niesprawiedliwa” społeczność. Niegdyś, gdy sądy odmówiły Klarze uznania jej praw, społeczność nie stanęła w jej obronie. Uznano ją – niezależnie od niemoralnego postępowania Alfreda – za „winną” i skazano. Jest to pierwszy przykład tego, jak relatywnie podchodzi się do samego pojęcia „sprawiedliwość”. Po przyjeździe głównej bohaterki mieszkańcy miasta przyjmują pozycję „sprawiedliwych” i odmawiają jej, robiąc to jednak tylko na pokaz. Szybko udaje jej się zmienić nastawienie ludności i w ostateczności to właśnie rękoma społeczności wydany przez nią wyrok zostaje wprowadzony w życie. To, w jakim stopniu postępowanie Alfreda sprzed lat uznamy za niemoralne, postępowanie sądu wobec Klary za niesprawiedliwe, a postępowanie Klary za bezprawie, nie ma właściwie żadnego znaczenia. Każde z nich – Alfred, sąd, Klara – wymierzają sprawiedliwość, chociaż każde z nich sięga po nią w odmienny sposób. Który z nich uznać należy za właściwy?

Michał Rudzik

## Von wem wird der Fußball begraben?

In letzter Zeit wird in dem deutschen Fußball sehr viel geheim vereinbart und offen diskutiert. Auf verschiedene bizarre Ideen des deutschen Fußballbundes, im Bezug auf steigende Zahl der Vermarktungsmöglichkeiten reagierten die Fans prompt und starteten eine bundesweit geführte Kampagne „Unser Problem mit euch“. Die Breite der Probleme reicht, jeden Spieltag ein anderes auf einem Banner zu erwähnen, angefangen von neuen Anstoßzeiten sogar bis zur Integration einer chinesischen Juniorennationalmannschaft in den Spielbetrieb der Regionalliga (vierthöchste Klasse in Deutschland).

Laut dem Vorstand des DFB sollen die Chinesen als eine Mannschaft außer Wettbewerb auftreten, die aber regelmäßig Freundschaftsspiele mit den Regionalligavereinen spielen wird. Der DFB stellte Clubs, die sich dazu bereit erklären, 15 Tsd. Euro in Aussicht. Nicht alle wurden aber von der Neuigkeit beeindruckt. Obwohl erstklassiger Fußball noch relativ wenig damit zu tun hat, bemerkt Markus Kompp, der Geschäftsführer von SV Waldhof Mannheim im Interview mit FOCUS Online, dass es durchaus als „Testballon für größere Kooperationen“ wahrgenommen werden könne.

Das Ziel ist doch für die Mehrheit klar und zwar: das Interesse am Markt in Fernost zu wecken. Dazu trägt eine sehr umstrittene Veränderung im deutschen Profifußball bei. Seit einem Jahr werden nämlich die neuen Anstoßzeiten getestet, die besonders für andere

Teile unserer Welt vorteilhaft sind, was u.a. TV-Markt angeht. Na ja, nun werden aber die deutschen Stadien leer und der Fußball verliert das, was er am meisten zu schätzen haben soll – die leidenschaftliche Unterstützung der mitgereisten Fans. Wie sollten aber die Lautrer an einem Montag mitreisen, wenn sie 1400 km hin und zurück zu schaffen haben, ihr Spiel um 20:15 angepfeffen wird und Menschen am nächsten Morgen normalerweise zur Arbeit oder Schule müssen? (der Fall vom 25. September, als der 1. FC Kaiserslautern auswärts gegen den 1. FC Union Berlin ranmusste)

Somit wächst die Auflehnungsstimmung der deutschen Fans und Ultragruppierungen gegen den schon seit langem verhassten DFB. Wer in dieser Saison wenn auch nur einmal in einer Bundesligaarena war, der Umgebung zuschaute, weiß, wovon die Rede ist. Als bestes Beispiel könnte hier eine Choreographie vom 32. Spieltag genannt werden, während dessen die Fans von Hertha aus Berlin vor dem Spiel gegen RB Leipzig fünf Gesichter aufzeigten, mit der Aufschrift „Die wahren Totengräber des Fußballs“. Demnach sind es Dietmar Mateschitz - RedBull-Gründer, Dietmar Hopp - Investor beim TSG 1899 Hoffenheim, Franz Beckenbauer, Joseph Blatter und Michel Platini, die unter Korruptionsverdacht stehen. Puh, ist das hart. Das ist aber nur die Antwort auf die früheren Aussagen eines DFL-Vorsitzenden Christian Seifert, der hingegen die Ultras als die Verantwortlichen für die Zerstörung des Fußballs nennt.

Von wem wird der Fußball also begraben? Das Rätsel wird wahrscheinlich erst gelöst, wenn er schon tot ist. Hoffentlich aber nur mit einem Bein.

Agata Michnowska

## BERLIN INACZEJ

Stolicy Niemiec nie trzeba nikomu przedstawiać. Bliżko 3,5-milionowa metropolia przyciąga turystów jak magnes. Większość z nich przyjeżdża tam tylko po to, aby zobaczyć Bramę Brandenburską i Reichstag lub zrobić sobie zdjęcie z amerykańskim żołnierzem przed Charlie Checkpoint. Berlin ma jednak do zaoferowania o wiele więcej. Żeby zrozumieć i pokochać to miasto, trzeba poznać jego mniej znane zakamarki.

### ARTYSTYCZNA DUSZA

Sztukę uliczną spotkacie na każdym kroku. Najwięcej turystów jest oczywiście przy East Side Gallery. Zdecydowanie mniej osób zagląda do Kunstraum Kreuzberg/Bethanien, czyli centrum sztuki współczesnej. Na pewno ucieszy Was fakt, iż wstęp na wszystkie wystawy jest darmowy. Fani twórczości Andy'ego

Warhola powinni udać się do muzeum znanego jako **Hamburger Bahnhof. Kulturbrauerei** to także miejsce, które trzeba odwiedzić. Centrum rozrywki zlokalizowane w starym browarze (brzmi znajomo?) oferuje szereg atrakcji, m.in. kino, teatr, klub muzyczny oraz restaurację. Raj dla miłośników sztuki industrialnej.

### ŚLADAMI HISTORII

Berlin to doskonałe miejsce do poznania historii XX wieku. Warto zwiedzić rzadko odwiedzane przez turystów **Deutsch-Russisches Museum Berlin-Karlshorst**, czyli muzeum poświęcone stosunkom niemiecko-rosyjskim. Co ciekawe, muzeum mieści się w dawnym kasynie oficerskim Wehrmachtu. Godne polecenia są też **Stasimuseum Berlin** oraz **DDR Museum**. Nie można pominąć także monumentalnego **Olympiastadion**, który został rozbudowany według planu zaaprobowanego przez Adolfa Hitlera z okazji Igrzysk Olimpijskich w 1936 roku. Co ciekawe, prawie w ogóle nie ucierpiał podczas II wojny światowej. Dla pasjonatów historii obowiązkowym punktem wycieczki jest też

wizyta w jednym z wielu schronów z czasów zimnej wojny.

### DO SYTA

Berlin to mekka jedzenia i nie chodzi o słynne niemieckie „bratwursty”, których niewątpliwie trzeba spróbować! Jako że Berlin to miasto wielokulturowe, zjeść można dania z całego świata. Jak najłatwiej znaleźć klimatyczną knajpę pozbawioną turystów? Wchodząc w uliczki odchodzące od tych głównych. Najlepsze śniadania zjecie w **What do you fancy love**, klimat retro poczujecie w **Cafe Kranzler** (istnieje od 1834!), a jeżeli zatęsknicie za lodami (i kolejkami) z naszej poznańskiej *Kolorowej* – pędźcie do **Vanille&Marille**. Miłośnicy kebabów (oraz kolejek) ochoczo gromadzą się przed **Mustafa's Gemuse Kebap**, gdzie podobno podają najlepsze tureckie jedzenie w mieście.

Warto także pamiętać o tym, że Berlin to raj dla wegan i wegetarian. W opublikowanym niedawno rankingu miast najbardziej przyjaznych roślinożercom zajął pierwsze miejsce! Jeżeli w swoim życiu kierujecie się zasadą *Bób Hummus Włoszczyzna*, obowiązkowo odwiedźcie **Dandy Diner** (gdy parę miesięcy temu otwarto lokal, przybyło tylu głodnych wegan, że aż przyjechała policja) oraz **1001 Falafel** (genialny hummus). A gdy jakimś cudem nadal nie będziecie najedzeni, lećcie na wegański deser do **Brammibal's Donut**.

Jeżeli jednak Wasz budżet jest typowo studencki, kupcie najzwyklejszego **Berlinera** (tj. pączka, jeżeli pomyśleliście o mieszkańcu stolicy to nie martwcie się: takie pomyłki zdarzają się najlepszym, choćby i prezydentowi JF Kennedy'emu w 1963), do tego butelkę napoju **Club Matte** i usiądźcie nad Sprewą, rozkoszując się przy tym berlińską atmosferą.

### SHOPPEN

Jeżeli kupujecie głównie w ekskluzywnych butikach, powinniście udać się do **Kaufhaus des Westens (KaDeWe)**. To olbrzymi dom towarowy (niedaleko **Zoologischer Garten**), w którym znajdziecie m.in. produkty od Chanel, Prady, Dior, Versace, a także jedzenie z całego świata. Jeśli jednak dysponujecie budżetem bardziej studenckim, odwiedźcie jeden z wielu pchlich targów (**Flohmarkt**). Najbardziej znany to **Flohmarkt am Mauerpark**, który jest czynny w każdą niedzielę. Ceny zaczynają się nawet od 50 eurocentów, a upolować można zarówno ubrania z „ścielówek”, jak i perełki od projektantów. Oprócz ubrań wystawiane są także antyki, płyty winylowe oraz różnego rodzaju gadżety. Jak widać, miasto ma do zaoferowania tak wiele, że każdy z Was może znaleźć coś dla siebie. A jak już to zrobicie, będziecie chcieli stale doń wracać. Nie bójcie się zbaczać ze ścieżek udeptanych przez rzesze turystów. Najlepsze atrakcje zawsze są ukryte przed tłumem!

Bis Bald

Aleksandra Danielek

## Zu Besuch bei Café Tomaselli

Herzlich willkommen in Salzburg, einer der wichtigsten und schönsten Städte Österreichs, wo die Salzburger Altstadt, Festung Hohensalzburg, bunte, duftige Gärten oder Mozarts Geburtshaus feste Reiseziele jedes Touristen sind. Ein Mekka für alle Kenner der klassischen Musik. Ein romantischer Platz für Verliebte, ein heilender für Verwundete. Besonders in der Urlaubszeit gewinnt Salzburg an Touristen, die den Geburtsort eines der bedeutendsten Komponisten besuchen möchten. Man kann natürlich das erste Kaffeehaus in Salzburg, das Mozart gerne besuchte nicht versäumen.

Im 17. Jahrhundert, nachdem die türkische Armee die Zweite Wiener Türkenbelagerung verloren hatte, fanden die Wiener seltsame Säcke mit den Kaffeebohnen. In dieses Getränk haben sich die Wiener Aristokraten verliebt. Dadurch sind die Kaffeehäuser entstanden, das jetzige Markenzeichen Österreichs. Die Ausrüstung, die aus Pluschbänken, Thonet-Stühlen, Marmortischen und Zeitungsgestellen besteht und ein freundliches Personal bilden eine heimische Stimmung. Kein Wunder, dass die Kaffeehäuser selbst

von den Wienern „ein verlängertes Wohnzimmer“ genannt werden.

Café Tomaselli wurde 1703 gegründet, als Johann Fontaine die Genehmigung von den Behörden erhielt, das erste Kaffeehaus zu eröffnen. Damals war das kein echtes Kaffeehaus, sondern nur ein Treffpunkt für Studenten. 1764 wurde das Kaffeehaus von Anton Staiger übernommen, der es „Staiger“ nannte. Im „Staiger“ traf sich jeden Abend die Crème de la Crème Salzburgs, darunter Wolfgang Amadeus Mozart. Wer weiß, ob das Konzept der „Zauberflöte“ nicht entstand, als er gerade seinen beliebten Kaffee nippte. Im Jahre 1850, als der Zuckerbäcker Carl Tomaselli, ein Sohn des Tenors Giuseppe Tomaselli aus Mailand das Café erwarb, wurde das Angebot um Tee, Kakao, Speiseeis bereichert. Das Café wurde weiter modernisiert und boomte.

Das heutige Kaffeehaus verlockt die Touristen schon beim Betreten mit einem gemütlichen Ambiente. Obwohl der Innenraum wegen der feinen Ausrüstung ein wenig aristokratisch scheint, fühlt man sich hier wohl, wie zu Hause. Das Menü mit vielen Kaffeesorten ruft die Überraschung hervor. Es fällt schwer, eine einzige Sorte zu wählen. Nicht ohne Bedeutung sind auch die Süßspeisen, die nicht nur himmlisch schmecken aber auch mit dem Aussehen bezaubern. Die süßen Kunst-



By Photo: Andreas Praefcke (Own work) [GFDL (<http://www.gnu.org/copyleft/fdl.html>) or CC BY 3.0 (<http://creativecommons.org/licenses/by/3.0/>)], via Wikimedia Commons

werke, wie zum Beispiel feinste, ästhetisch mit Obst geschmückte Torten, Strudel oder mit der Spiegelglasur dekorierte Pralinen haben die Kraft, die verwöhnten Gaumen zu befriedigen. Die Speisen mit aromatischem Kaffee können ohne Zweifel den Tag versüßen.

Dieses Beispiel für das österreichische kulturelle Erbe gewinnt dank dem geschichtlichen Wert und der Eleganz immer mehr Kunden. Es ist kein Wunder, dass die angenehme Atmosphäre des Kaffeehauses die Touristen zum Wiederbesuch lockt.

### Juist – Das Zauberland

Na ostatni dzień czerwca przypadł mój ostatni egzamin w sesji, po którym wróciła do domu i zaczęłam pakować walizki. Następnego dnia czekała mnie 18-godzinna podróż na położoną blisko holenderskiej granicy niemiecką wyspę Juist, tworzącą wraz z sąsiednimi Norderney, Borkum, Baltrum, Langeoog, Spiekeroog i Wangerooge łańcuch Wysp Wschodniofryzyjskich na Morzu Północnym. Dzięki rozwinięciu się ruchu turystycznego region ten stał się popularnym miejscem spędzania urlopu przez niemieckich turystów. Świadczy o tym chociażby to, że – według statystyk – Juist zamieszkuje na co dzień ok. 1500 mieszkańców, a w sezonie liczba ta jest dwukrotnie, a nawet trzykrotnie większa.

Pierwszy raz odwiedziłam wyspę w 2016 roku, tydzień po maturze, głównie w celu przygotowania się do studiów (mimo, że jeszcze wtedy nie wiedziałam,

czy zdałam maturę), osłuchania z językiem i przełamania bariery językowej. Klimat, którym zachłysnęłam się w ubiegłym roku, sprawił, że również w ostatnie wakacje powróciłam w tamte strony. Uczucie odrębności, wynikające z „odłączenia się” od lądu, ale zarazem poczucie wspólnoty, dzięki zamieszkującej tam Polonii (największa mniejszość na Juist), a także świadomość bycia otoczonej z każdej strony wodą rzutują na mój – być może nieco wyidealizowany – odbiór tego miejsca. Spędziłam tam dwa miesiące, pracując jako kelnerka w hotelu. Po pracy, a więc najczęściej w godzinach wieczornych, udawałam się na plażę lub spacerowałam uliczkami, które mimo trwającego sezonu wieczorami pustoszały. Jest to jeden z czynników wpływający na wyjątkowość tego miejsca. Drugim jest wprowadzony zakaz ruchu pojazdami silnikowymi w większości z miasteczek. Typowym środkiem transportu są rowery oraz bryczki, co znacznie wpływa na poczucie bezpieczeństwa oraz czystość powietrza. W dzień wolny od pracy wybierałam się na *Kurplatz*,

czyli duży ogrodzony roślinnością plac w środku miasta, na którym kilka razy w tygodniu odbywały się koncerty tutejszej orkiestry. W pracy spędzałam średnio 8 godzin dziennie, więc jeżeli zaczynałam wczesną zmianę, to kończyłam między 15:30 a 17:30, czyli w czasie, gdy sklepy były jeszcze czynne, restauracje otwarte, a na ulicach spacerowali turyści. Warto o tym wspomnieć, ponieważ nawet w sezonie sklepy spożywcze są otwarte do 18:00. W godzinach wieczornych do dyspozycji pozostają jedynie puby i restauracje. Z tego względu nie dla każdego jest to odpowiednie miejsce na odpoczynek. Szczerze mówiąc, gdyby praca nie zajmowała mi jednej trzeciej doby, to zacząłabym się tam nudzić. Przez większość lata jest chłodno i deszczowo. Pogoda potrafi zmieniać się kilka razy w ciągu dnia, dlatego dobrze mieć jakieś zaję-

cie, szczególnie jeżeli planuje się spędzić tam co najmniej 2 tygodnie, tak jak to było w moim przypadku. Niestety życie na Wyspach Wschodnioafrykańskich nie jest tanie, gdyż poza zakwaterowaniem zawyżone są ceny artykułów spożywczych. Nie chodzi o przeliczanie na złotówki, lecz o sam fakt, że na lądzie te same produkty są dużo tańsze. Poznani przeze mnie Polacy zamieszkują wyspę „na stałe”, a większość podstawowych produktów zamawiają przez Internet.

Juist poznałam niestety tylko latem, jednak ciekawie mnie, jak wygląda to nadmorskie miasteczko w najmniej atrakcyjnym dla turystów okresie, czyli jesienią i zimą. Chciałabym tam wrócić z ciekawości i sentymentu. Opuszczając Juist wiedziałam, że to nie jest ostateczne pożegnanie. Jeszcze tam wrócę i to na dłużej. Nawet jeżeli będzie to zimą. (AW)

Helena Skiba

### U podnóża Kaukazu

Otwarte przestrzenie, przepiękne widoki, smakowita kuchnia i doraźne dawki adrenaliny podczas jazdy samochodem – jeśli do tego szukasz celu podróży, po dotarciu do którego nie będziesz musiał przebijać się przez tłumy turystów – Gruzja jest dla ciebie.

#### Gruzińska ruletka

Większość samolotów z Polski ląduje w Kutaisi – drugim co do wielkości mieście w państwie – gdzie na lotnisku czeka już tłum kierowców polujących na turystów. Oferują transport w przeróżne zakątki kraju. Niezależnie jednak od twojego celu podróży i od tego, jak bardzo jesteś zmęczony, dopóki nie dotrzesz na miejsce, od spotkania z Morfeuszem będziesz wolał zwyczajne modlenie się o przeżycie. Gruzini bowiem traktują przepisy ruchu drogowego bardziej jak wskazówki niż zakazy i nakazy (jak kpt. Jack Sparrow kodeks piracki). Tym sposobem moja przygoda w Gruzji zaczęła się od wciskania jedenastu osób do dziewięcioosobowego busa z kierowcą po prawej stronie (!) (Nie, ruch nie jest lewostronny. Tak, jest bardzo dużo importowanych aut). Dla naszego kierowcy linie pasów ruchu na autostradzie stanowiły co najwyżej luźne sugestie. Parę razy zostaliśmy uraczeni efektownym zygzakiem wokół osi jezdni. Do takiego podejścia wszystkich prowadzących dochodzą jeszcze dwa fakty: 1. w Gruzji powszechny jest wolny wypas – krowy przy drodze, czy na drodze są naturalną częścią krajobrazu; 2. Nie ma tu obowiązkowych przeglądów technicznych. Po drodze może jeździć w zasadzie wszystko, co tylko jest w stanie się poruszać (w pewnym momencie naszego pobytu zaczęliśmy liczyć pojazdy bez zderzaków. Przy trzydziestym daliśmy sobie spokój).

Z perspektywy pieszego sprawa wygląda jeszcze gorzej. Kaźdorazowo przejście przez jezdnię to zwykłe igranie ze śmiercią (w Gruzji człowiek automatycznie docenia pracę wszystkich pomarańczek na świecie). Panuje tylko jedna niepisana zasada, która pozwala „nie dać się zabić”: Nie okazuj słabości. Receptą na dotarcie na chodnik po drugiej stronie w jednym kawałku jest przejście pewnym krokiem, bez żadnego zawahania. Pewnego razu przechodziliśmy przez bardzo ruchliwą ulicę. Przez pięć minut czailiśmy się po jednej stronie, czekając na odpowiedni moment i powoli tracąc nadzieję. Aż tu nagle kawałek dalej pojawił się miejscowy, który ewidentnie szykował się do tego samego. Nie mogąc przepuścić takiej okazji, podeszliśmy tak blisko jak się dało i wykorzystaliśmy go jak żywą tarczę – przewodnika. Serdecznie nas potem wyśmiał, ale przeżyliśmy.

Cechą charakterystyczną gruzińskiej motoryzacji jest także bardzo szerokie zastosowanie klaksonu. Ma on cały wachlarz znaczeń: od „Dzień dobry” przez „Cześć, piękna” lub „Jak jeździsz, baranie?!” po neutralne „Hej, tu jestem”.

#### Od kuchni

Najpopularniejszym gruzińskim przysmakiem jest khachapuri. Występuje ono w kilku odmianach: imeruli – okrągły placek z zapieczonym w środku serem; adjaruli – z dodatkiem jajka). Placek z fasolą w środku to lobiani. Klasyczne są także pierożki khinkali. Uwaga! Jedzenie ich sztuczkami uznaje się za *faux pas*. Należy złapać je za zwinięty koniec, odgryźć kawałek, a następnie wypić bulion ze środka. Końcówki zostawia się na talerzu, ponieważ ciasto w nich może być jeszcze surowe. Na ulicznych straganikach często spotyka się churchkheli oraz tkłapi. Pierwsze to orzechy oblane zagęszczonym sokiem owocowym, drugie to ów sok owocowy rozprasowany i potraktowany mąką tak, by całość się nie kruszyła. Smakują trochę jak nie-

słodki żelek, ale w obu przypadkach im dłużej jesz, tym bardziej się przekonujesz. Odpowiednikami naszych jabłek i gruszek są figi, kaki i arbuzy. Tradycyjne przyprawy to natomiast adżika i sól swańska.

Alkohol stanowi osobny obszerny rozdział. I to także ciekawy! Gruzja jest mekką dla fanów mocnych trunków i pełnych kieszeni. Litr czaczy (40-60% wódki) można tu dostać na bazarze za 6 lari, czyli w przeliczeniu ok. 10zł. Drugim narodowym alkoholem jest wino. Wielu Gruzinów twierdzi nawet, że to u nich miało ono swoje początki. Niezależnie od tego, czy to prawda, czy też nie, trzeba im przyznać, że znają się na rzeczy.

Ogromną wagę przywiązuje się tutaj do toastów. Przy czym różnią się one od polskich jak ogień i woda. Wznoszenie gruzińskiego toastu może trwać dobrych parę minut. Te o cięższej tematyce: na przykład za ojczyznę, miłość, za tych, którzy odeszli itd. wznosi się na stojąco. Ich kolejnością, częstotliwością i ogólnym porządkiem przy stole zarządza tamada (głównodowodzący, wodzirej, przywódca całej imprezy; najczęściej najstarszy mężczyzna). Nasz przewodnik opowiadał, jak raz został zaproszony na tradycyjną gruzińską biesiadę – suprę. Na 6 osób biorących w niej udział czekało 26 litrów wina. I kiedy on następnego dnia rano witał się z kolegą Kacem, większość pozostałych już zawinęła się do samochodów i odjechała. W uczcie brali udział

sami mężczyźni, a kobiety, jak to zostało ujęte, „latały tylko jak Messerschmitty, donosząc jedzenie”.

### Wierzenia

Prawie 90% społeczeństwa stanowią tu chrześcijanie. Dokładniej prawosławni i wyznawcy Kościoła Ormiańskiego (katolicy ok. 0,8%). Pozostali to w większości muzułmanie. Gruzini są nie tylko bardzo religijni, ale także konserwatywni. Kobiety ubierają się skromnie i z założenia trzymają czystość aż do ślubu. Wszystkie wyzywające stroje sugerowałabym zatem paniom zostawić w szafie. Szczególnie, jeżeli wybieracie się poza Tbilisi. Im głębsza prowincja, tym większy szok i oburzenie będą wywoływały krótkie spodenki, odsłonięte ramiona, czy głęboki dekolty.

### Dothrakowie XXI wieku

W czasie mojego pobytu w Gruzji miałam to niesamowite szczęście, że dane mi było spędzić 5 dni na rajdzie konnym po Kaukazie. Do tej pory żyłam w mylnym przekonaniu, że żeby poczuć się jak członek Drużyny Pierścienia trzeba lecieć do Nowej Zelandii. Otóż nie. Wierście mi, Kachetia też jest w sam raz. Jak dla mnie całe przyrodnicze piękno kraju ma swoje apogeum właśnie na Kaukazie.



## KONFRONTACJA ZWYCZAJÓW

Wyjątkowe są nie tylko krajobrazy, ale także ludzie, którzy tam mieszkają. Moim głównym przemyśleniem po tej wyprawie było: „górale kaukaski to cholerni Dothrakowie XXI w.” I nie chodzi tu tylko o ich imponujące brody i łobuzerski wygląd. Każdy z nich jeździ na koniu z równą łatwością, co my na rowerze. Wskoczyć na narowistego konia w samych klapkach? Pewnie! Galop pod górę na oklep albo jazda siedząc tyłem? Żaden problem! Przy czym traktują swoje czterokopytne wyłącznie jako środek transportu. Zwierzęta znoszą ze stoickim spokojem zaciąganie poprzęgu metodą „na kopa” czy wystrzał ze strzelby w odległości pięciu metrów. Sprawiają wrażenie równie niezniszczalnych, co ich właściciele. Ciekawostka: w górach nie ma policji. Wszystkie sprawy i konflikty ludzie załatwiają między sobą. Niekiedy z bronią w ręku.

### Co jeszcze trzeba wiedzieć jadąc do Gruzji?

Polacy mogą wjeżdżać do państwa na sam dowód osobisty. Zawdzięczamy to Lechowi Kaczyńskiemu. W czasie wojny z Rosją o Osetię Południową w 2008 r. przemówił na wiecu w Tbilisi, wspierając Gruzinów. Jego słowa zostały bardzo entuzjastycznie przyjęte. Po tragedii w Smoleńsku prezydent Saakaszwili przyjechał na jego pogrzeb z USA z pięcioma przesiadkami

(transport lotniczy był wówczas sparaliżowany przez wybuch wulkanu na Islandii).

Gruzini mają swój własny alfabet i język. Jest on bardzo trudny do nauczenia. Nie przypomina żadnej innej europejskiej mowy, a gruzińskie szlaczki są równie nieczytelne, jak chińskie krzaczkę. Bardzo niewielu Gruzinów mówi po angielsku, za to prawie wszyscy znają rosyjski (dwa zwroty, które na pewno się przydadzą: gamardzoba – dzień dobry; madloba – dziękuję).

Szokujący dla przyjezdnych jest dość popularny tutaj kult Stalina, który z pochodzenia był Gruzinem. Można kupić mnóstwo pamiątek z jego podobizną. Większość szanuje go jako silnego przywódcę. Jego zbrodnica działalność zostaje natomiast jakoś magicznie pominięta.

Charakterystyczne dla Gruzji są też wszędobylskie bezpieczne psy i koty. Na ulicach spotyka się ich całe mnóstwo. Nie są jednak agresywne. Zakładam, że szybciej zalizałyby cię na śmierć, niż ugryzły.

I w końcu, *last but not least*, ile by nie pisać o kraju, jedną rzecz trzeba przyznać: największym jego skarbem są mieszkańcy. Jest coś w twierdzeniu, że im mniej człowiek ma, tym szybciej się podzieli. Większość Gruzinów to ludzie biedni, ale gościnności może się od nich uczyć każdy. I chociażby dla tej lekcji warto tam pojechać.

Zuzanna Raczkowska

## Polak i Niemiec kontra czas

Wśród stereotypów dotyczących Polaków pojawiają się także te pozytywne. Mówi się, że jesteśmy pracowici i niezawodni. Z kolei w Niemczech bardzo ważne jest planowanie czasu i punktualność. Ale czy na pewno? Czy Polak za granicą będzie tym samym Polakiem? Co się stanie, jeśli odniesie się polską niezawodność i możliwość polegania na sobie do niemieckiego poczucia czasu? Myślę, że ten problem warto byłoby „wziąć pod lupę”.

Czasami mam wrażenie, że różnice kulturowe między Polską a Niemcami, którym z takim upodobaniem przypatruję się w kraju naszych zachodnich sąsiadów, są szczególnie widoczne i odczuwalne, jeżeli chodzi o poczucie czasu, czasami nawet poczucie obowiązku. Kiedy umawiam się z Niemcem na spotkanie, a ten z jakiegoś powodu nie może przyjść, informuje mnie o tym kilka godzin wcześniej. Przepraszając, że w natłoku obowiązków musi odwołać wieczór, wysła wiadomość. Nigdy nie stanowiło to dla mnie problemu, zwłaszcza jeśli wiem, że znajomy musi w jednym dniu przygotować się do egzaminu, pójść do pracy i zrobić jeszcze kilka innych rzeczy. Upprzedzona



## KONFRONTACJA ZWYCZAJÓW

wcześniej, mogę swobodnie zaplanować sobie dzień inaczej i w żaden sposób nie mam wówczas pretensji. Inną sytuacją jest, kiedy to ja proponuję wspólny obiad bądź kawę. Kiedy dana osoba nie jest pewna, czy znajdzie dla mnie czas, używa najcudowniejszego moim zdaniem wynalazku języka niemieckiego, czyli Konjunktivu. Konjunktiv I, czyli tryb przypuszczający, od razu zakłada możliwość wykonania czegoś, jednocześnie nie dając stuprocentowej pewności, że tak właśnie będzie. Widząc więc tę formę gramatyczną, od razu wiem, że teoretycznie spotkanie jest możliwe, ale najlepiej będzie zadzwonić bądź napisać dzień lub dwa wcześniej i je potwierdzić. Dobrze jest też mieć na uwadze, że w Niemczech bardzo ważną rolę odgrywa planowanie czasu. Rzadko kiedy udaje się spotkać spontanicznie. Nie powinno więc nas dziwić, że kiedy zadzwonimy do znajomego, pytając, czy ma akurat wolny wieczór, ten odpowie nam, że co prawda bardzo cieszy się z zaproszenia, ale ma już plany. Będąc na kolejnym już stypendium w Niemczech zdążyłam pojąć, że chcąc spotkać się z kimś, rozsądnie jest napisać do kogoś nawet do tygodnia wcześniej. Inaczej można usłyszeć wyżej wymienione zdanie, lub „w tym tygodniu nie da rady („diese Woche wird eng“). Również moja „Gastfreundin”, zapraszając mnie na paradę karnawałową w Mainz, rozmawiała ze mną o tym niemal tydzień wcześniej, dzwoniąc jeszcze dwa dni przed samym wydarzeniem.

### Z polskiej perspektywy

A jak wygląda umawianie się z rodakami w Niemczech (Mainz)? Tutaj niestety sprawy „nieważne” się komplikują, zwłaszcza jeżeli mówimy o wspólnym wyjściu kilku studentów w czasie sesji.

Nikomui, kto w życiu choćby próbował studiowania, nie trzeba tłumaczyć, że sesja egzaminacyjna jest czasem, kiedy doba w magiczny sposób ulega skróceniu, podczas gdy materiału do nauki wcale nie ubywa. Z tego względu ważne jest odpowiednie zarządzanie czasem. Pewnego razu uznałam jednak, że nie chciałabym przez prawie miesiąc zaniedbywać przyjaciół, dlatego zaproponowałam wspólny obiad w pobliskiej stołówce. Nie miałam w tym dniu zajęć, więc zaplanowałam, że przedpołudnie poświęcę na porządki, natomiast po południu zjem coś ze znajomymi i pójdę do biblioteki. Przyjechałam na miejsce punktualnie, ale poza grupą zagranicznych i niemieckim studentów nie zastałam na miejscu nikogo z polskich zna-

jomych. Szybko więc wysłałam wiadomość na messengerze, chcąc sprawdzić, dlaczego jeszcze nikogo nie ma. W odpowiedzi przeczytałam, że rówieśnicy muszą jeszcze coś omówić w bibliotece i nie znajdują czasu, by się pojawić. Będąc z natury spokojną i łagodną osobą tym razem naprawdę się zdenerwowałam. Postanowiłam odpisać, że dla mnie odwoływanie spotkania na 5 minut przed nim samym, podczas gdy ja specjalnie poświęciłam czas na dojazd i w ten a nie inny sposób zaplanowałam dzień – jest przecież marnowaniem mojego czasu. I naprawdę życzyłabym sobie, żeby inni mieli to na uwadze. Podobna sytuacja pojawiła się już raz wcześniej, dlatego zdecydowałam, że ta będzie ostatnią, w której ktoś wystawia mnie do wiatru. Dlatego czasem zdarza mi się zadać pytanie: Czy na pewno zawsze można na nas, Polakach, polegać?

Czasami myślę, że niemieckie pojmowanie czasu i punktualności udzieliło się i mnie. Zwyczajnie złości mnie, kiedy ktoś nie przychodzi na czas. Również wydarzenia, podróże, wyjazdy i spotkania planuję z dużym wyprzedzeniem, co zdaje świetny egzamin w praktyce. Bywa jednak, że zdarza się przesadzić w drugą stronę i planować dzień co do godziny, co jeden ze znanych mi Niemców podsumował stwierdzeniem, że mój sposób planowania jest już bardziej niemiecki, niż w przypadku samych Niemców!



Alicja Kierończyk

### Ja już to przeżyłam, czyli o tym, że istnieje życie po poprawce

Mawiają, że studia to najlepszy okres w życiu młodego człowieka. W opozycji do tego sloganu stoją jednak dziesiątki pełnych żałości memów na temat niedoli bycia żakiem oraz życia na „studenckich łez padole”. Prawda leży z pewnością gdzieś pośrodku. Pamiętam, jak w ubiegłe wakacje pełna entuzjazmu pisałam do drugiego numeru „Pod jednym DACHem” o tym, że spełniłam jedno ze swoich marzeń, dostając się na wymarzony kierunek studiów. Dzisiaj, z trochę już innej perspektywy, mogę powiedzieć więcej – pokonałam pierwszy rok germanistyki i poznałam przy tym zarówno blaski, jak i cienie studiowania.

#### Pierwszy rok jest najtrudniejszy...

Wiem, że nie brzmi to zbyt zachęcająco, ale taka jest niestety prawda. Pod wieloma względami ciężko jest przestawić się na „studencki tryb życia”. Chodzenie do szkoły i studiowanie są jak ogień i woda. Pełna lodówka oraz ugotowany przez mamę obiad to tylko jedno z plusów mieszkania w rodzinnym domu podczas studiów. Nie każdy ma jednak to szczęście, by pochodzić z miasta, w którym chce się studiować. Dla niektórych oznacza to przeprowadzkę do najbliższego miasta akademickiego, wielu jest jednak takich, którzy decydują się na naukę w miejscu oddalonym kilkaset kilometrów od rodzinnego domu, co powoduje, że cotygodniowe powroty do niego najzwyczajniej w świecie nie wchodzą w grę. Wśród wspomnianych przeze mnie licznych memów rzucił mi się ostatnio w oczy taki, który wspomnieniem z dzieciństwa nazywał...

niepłacenie rachunków! Śmiech śmiechem, ale trzeba przyznać, że coś w tym jest. Prowadzenie własnego „gospodarstwa domowego” wcale nie jest takie proste. Czasami – a może nawet bardzo często – okazuje się, że tak naprawdę nie potrafimy kontrolować swoich wydatków. Uczulam Was na to, bo zabuczenie proporcji pomiędzy zawartością portfela, a dniami do końca miesiąca, naprawdę nie jest niczym przyjemnym.

#### ...ale może być przyjemny

Mimo że powiało w moim tekście lekkim pesymizmem (za co przepraszam), studia nie są niekończącą się tragedią. Wręcz przeciwnie – to może być naprawdę owocny czas, ale tylko od Was zależy, czy tak go wykorzystacie i jakimi ludźmi będziecie się otaczać. Dobrze jest wiedzieć, że ktoś jeszcze miał takie same dylematy jak my i rozprawił się z nimi – to potrafi zmotywować i przepędzić gasnące chęci do działania oraz rodzące się w głowie czarne scenariusze. Na pierwszym roku często zderzają się ze sobą rzeczywistość i nasze wyobrażenia o studiowaniu. Nie chodzi o to, czy jest gorzej lub lepiej niż myśleliśmy. Jest po prostu zupełnie inaczej. Dla mnie ogromnym ułatwieniem było dołączenie do KULT(ur)OWEGO Koła Naukowego. Dzięki temu stosunkowo szybko załapałam kontakt z ludźmi ze starszych roczników i było mi łatwiej prosić o pomoc, jeśli miałam problem z jakimś zagadnieniem. Gdy uczyłam się czegoś i za nic w świecie nie mogłam tego nadal zapamiętać, przychodziły mi z pomocą dobre duszyczki, które podpowiadały, w jaki sposób one poradziły sobie z tym czy owym. Działo się, bo nagle – ośnienie! – potrafiłam przyswoić nieszczęsny materiał o wiele szybciej. Innym razem umawiałam się ze znajomymi z grupy i powtarzaliśmy najbardziej kłopotliwe zagadnienia. Układając swoje



własne przykłady dużo łatwiej jest je sobie później przypomnieć, bo łączą się one w pamięci z okolicznościami, w których poprzednio były przyswajane.

### **Im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju**

Miedzy innymi te słowa usłyszałam od znajomych, którzy są już dłużej zaprawieni w studiowaniu. ☺ Aktualnie wiszą przyklejone nad moim biurkiem i przypominają mi, że mogę dać z siebie więcej teraz, by później było lżej. W liceum nieraz udawało się przełożyć termin sprawdzianu bądź omawiania lektury – jedni cieszyli się, bo odwlekli w czasie siedzenie nad książkami, inni ubolewali nad zarwaną daremnie nocą. Na studiach jest to sprawa innego kalibru. Przede wszystkim lektury, jeszcze dokładniej – dużo lektur. Przeciwników czytania książek może to już na wstępie zrazić, inni będą kombinowali, by jak najmniej się natrudzić, a jednocześnie nie wypaść blado przed resztą grupy. Ludzie przychodzą na studia z różnym poziomem znajomości języka, ale pierwszy rok właśnie po to jest, by wyrównać te różnice. Jedną z podstawowych lekcji, jakie dostałam w ciągu całego pierwszego roku studiowania, to nieodkładanie niczego na później. Tego „później” po prostu nie będzie, bo zawsze jest coś innego do zrobienia. Warto od samego początku uczyć się systematycznie. Tylko dzięki dobremu rozplanowaniu nauki można w okresie sesji uniknąć stresu związanego z nadchodzącymi egzaminami i jednocześnie wysypiać się, zamiast wlewać w siebie hurtowe ilości kawy.

### **Studia językowe ≠ kurs językowy**

Na nic zda się załamanie przy pierwszym zderzeniu z poznawaniem języka na studiach. Wydaje się fru-

strujące, że nagle poznamy go od nowa. Ja sama, gdy zaczynałam studiować germanistykę, zastanawiałam się, czy aby nowa wiedza nie jest całkowitym zaprzeczeniem tego, czego nauczyłam się dotychczas. Niemiecki na studiach (i dotyczy to także każdego innego języka) jest po prostu zupełnie inny niż wcześniej znany. To ugruntowanie posiadanej już wiedzy oraz jednocześnie rozwinięcie jej na innych – czasami abstrakcyjnych – płaszczyznach. W pierwszym semestrze jest niemal jak muzyka – opowiada o tym, jak po niemiecku działa nasz aparat mowy, a posiadając już tę wiedzę, można płynąć dalej w rytmie niemieckiej wymowy. Innym razem jest jak matematyka – tylko dzięki odpowiedniemu ustawieniu konkretnych części zdania mają one sens. Może to być też logika – jedno zdanie możemy zrozumieć na kilka różnych sposobów. Jeśli jednak ktoś wybiera studia językowe, interpretując je jako synonim do kursu językowego, to gwarantuję, że w większości przypadków rozczaruje się. Także dlatego tak wiele osób rezygnuje już na samym początku. Miewałam momenty, że nawet kilka razy w tygodniu chciałam rzucać studia i zastanawiałam się, czy na pewno jestem w dobrym miejscu. Ostatecznie jednak, tak samo jak po burzy wychodzi słońce, tak samo po chwilach zwątpienia pojawia się niesamowita i przepełniająca radość na myśl o tym, że z perspektywy czasu widzę postępy, jakie poczyniłam, a do tego mam wszechstronną wiedzę na temat kultury niemieckiej.

Na koniec pozostaje mi tylko życzyć Wam powodzenia w nadchodzącej sesji. Niech motywacja i dążenie do celu nie opuszczają Was, a ten rok będzie owocny w nowe doświadczenia. Mam nadzieję, że moje rady przydadzą się Pierwszorocznym. ☺

*Lukasz Piątkowski*

### **Pechowy dzień**

Marcin był człowiekiem niezwykłym. Każdego dnia, idąc do pracy, wstępował do piekarni, by kupić pączki z konfiturą różną, zamawiając do tego karmelowe latte oraz paczkę chusteczek, które zawsze wykorzystywał do czyszczenia ust i rąk po spożytym posiłku.

Nie to jednak stanowiło o jego niezwykłości. Prócz życia zwykłego urzędnika prowadził również takie, które każdy człowiek uznałby za niezwykle. Marcin był znany pod pseudonimem „Finis”. Nazwa ta wskazywała na to, czym się zajmował. Był płatnym mordercą, który realizował powierzone mu zadanie niewykrywalnie i perfekcyjnie. Nigdy nie doszło do sytuacji, w której policja wpadła na jego trop. Ofiary były najczęściej mordowane substancją zatrzymującą pracę mózgu, co w konsekwencji prowadziło do zeszywnienia koń-

czyn oraz powolnego zatrzymania akcji serca. Co ciekawe, substancja ta znikała z organizmu delikwenta w przeciągu dwudziestu minut i pozostawała niewykrywalna dla policji.

Do Marcina zgłaszały się najczęściej zdradzone żony ze zleceniem zlikwidowania mężów, pracownicy zachodnich firm, którzy chcieli zająć miejsce kierownika lub szefa, ale także nastolatki z pomysłem uśmiercenia byłego chłopaka. Niezwykłe w tym wszystkim było to, że Marcin nie żądał od zleciennodawców ogromnych kwot pieniędzy, zapłaty w postaci drogocennych przedmiotów czy nieruchomości, oczekując w zamian jedynie wspólnej kolacji. Wydaje się to dość dziwne, ale Marcin nie był człowiekiem, którego można by nazwać przeciętnym. W rzeczywistości był bardzo samotny. Nie potrafił zbudować związku opartego na miłości i zaufaniu. Nie miał nikogo, prócz bezpieczeństwa kota, który w zasadzie nie mieszkał z nim, ale był przez niego codziennie dokarmiany. Można spytać, dlaczego

za wykonanie zlecenia oczekiwał akurat kolacji. Jego największą skazą była chęć odwetu na ludziach, którzy krzywdzili innych. Za absolutną zemstę uważał kres życia, koniec wszystkiego, czyli łacińskie „finis”.

Do takiego stanu doprowadziły go jego przeżycia. Ojciec katujący matkę, koledzy w szkole dręczący młodszych, szef molestujący pracownicę... W jego życiu ból, strach i zemsta mieszały się wzajemnie, mimo że nie zawsze jego dotyczyło nieszczęśliwe zdarzenie. Przełomowym punktem była śmierć jego najlepszego przyjaciela, który został zamordowany z zimną krwią w alejce za piekarnią. To wydarzenie przyczyniło się do zapoczątkowania „jego misji” – misji oczyszczenia.

Tamtego dnia jego ulubiona piekarnia była zamknięta z powodu deratyzacji. Szok, jakiego doznał, był nie do opisania, gdyż zawsze wydawało mu się, że porządek panujący w tamtym pomieszczeniu był sterylny, pozbawiony skazy. Idąc do pracy musiał zadowolić się starym bajglem ze sklepu na rogu. Szedł dalej, pograżony w myślach, co stanie się z jego codziennym rytuałem. Nieprędko otworzą piekarnię, kto wie, czy nie zamknęli jej na dobre. Gniew i rozpacz coraz bardziej w nim wzbierały.

Gdy dotarł do pracy, usiadł za biurkiem i jak co dzień zaczął przeglądać faktury, które musiał wpisać do systemu, podstemplować i włożyć do odpowiedniego segregatora. W najmniej oczekiwanym momencie nastąpiła przerwa w dostawie prądu, przez co cały oddział został bez światła i narzędzi do pracy. A ponieważ do zakończenia dnia zostało jeszcze około pięciu godzin, każdy z pracowników wyjął smartphona i buszował w sieci. Ale nie Marcin. On postanowił zadzwonić do najlepszego przyjaciela, Bartka. Znali się jeszcze z czasów liceum. Bartek był pełnym przeciwieństwem Marcina: nieuporządkowany, niewykształcony i nie mający celu w życiu. Ale zdaniem Marcina o to chodziło w przyjaźni: o różnice i ich akceptację. Lubił Bartka, bo jego umysł i postrzeganie świata go intrygowały. W czasie wymiany krótkich wiadomości umówili się na rogu opanowanej przez szczury piekarni. Mieli iść razem do Marcina, zjeść kolację i napić się piwa. Po kilku minutach kryzys energetyczny w firmie został zażegnany i Marcin powrócił do wykonywania swoich zadań.

Gdy wybiła godzina czwarta, Marcin wyszedł z pracy, pozostawiając na biurku ład i porządek. Zmierzał w kierunku umówionego miejsca spotkania. Nagle usłyszał przerażający krzyk, a dobiegający z alejki koło piekarni męski głos wydał mu się dziwnie znajomy. Marcin podbiegł bliżej i spostrzegł dwóch zakapturzonych mężczyzn, którzy po raz kolejny wbijają nóż w broczącego krwią człowieka, leżącego na ziemi. To był Bartek. Gdy tylko oprawcy zauważyli Marcina, wykonali ostateczny ruch nożem wbijając go w głowę ofiary. Mężczyzna zamilkł, nastała głucha cisza. Marcin nie wiedział, co ma zrobić, nie był przygotowany na taką kolej rzeczy. Rzucić się w pościg za uciekającymi katami, czy ratować przyjaciela? Stał i patrzył na tę

scenę, nie mogąc się ruszyć. Złość, ból, smutek, przeżenie, strach, chęć zemsty... wciąż czuł to wszystko. Zakapturzeni mężczyźni uciekli, martwy przyjaciel wciąż krwawił, widok ciała był przerażający. Po kilku chwilach Marcin odzyskał poczucie rzeczywistości, zadzwonił na policję i opowiedział im o tym, co zaszło. Po tym telefonie podszedł do przyjaciela i zobaczył, że mordercy zostawili czternaście ran kłutych, jednak to nie było wszystko. Bartkowi brakowało jednego oka, paru zębów, dwóch palców u lewej ręki. Został bestialsko zamordowany. Marcin, który zazwyczaj nie okazywał emocji, tym razem uronił parę łez.

Policja i pogotowie pojawili się na miejscu zaledwie po kilku minutach. Marcin został przesłuchany oraz poproszony o rysopis zabójców. Mimo że doskonale zapamiętał ich twarze, postanowił skłamać i stwierdził, że nie zapamiętał jak wyglądali. To właśnie wtedy zrodziła się w nim chęć zemsty. Odszedł z miejsca zbrodni. Wrócił do domu i wziął długi, zimny prysznic. Wiedział, że został na świecie zupełnie sam, jego najlepszy przyjaciel, z którym od czasu do czasu spotykał się, by nie czuć przytłaczającej go samotności, został bez powodu zamordowany. W jego głowie kłębiły się niezliczone myśli: kim byli mordercy, jak mogli to zrobić, dlaczego, po co, skąd wiedzieli o miejscu spotkania, dokąd uciekli, jak ich złapać, jak się zemścić, jak odebrać im to, czego pozbawili Marcina. Jediną możliwością był powrót na miejsce zbrodni i szukanie śladów. Tak też zrobił.

Marcin powrócił na miejsce zdarzenia, które otoczone było taśmami policyjnymi z napisem „miejsce przestępstwa”. Nie powstrzymały go jednak przed podejściem do obrysowanej kredą postaci i szukania wskazówek. Nie znalazł zupełnie nic, więc poszedł dalej drogą, którą uciekli przestępcy. Bacznie obserwując ścieżkę, spostrzegł na ziemi coś małego, białego i prostokątnego. Było to zdjęcie małej dziewczynki z pewnego rodzaju turbanem na głowie. Marcinowi przypominało to wygląd dziewczynki walczącej z nowotworem. Wiedział, że gdzieś już ją widział. Zabrał zdjęcie i wrócił do domu. Przeszukał sieć i w końcu natrafił na artykuł w popularnej gazecie. Tytuł brzmiał „Anastazja chce żyć. O walce z rakiem opowiadają rodzice Michał i Anna”. Pod tytułem znajdowało się zdjęcie Anastazji z rodzicami. To był ten facet! Ten sam, który wbił Bartkowi nóż w czaszkę. Jak to możliwe, że osoba, która ma ciężko chorą córkę, pozbawiła życia niewinnego człowieka. Marcin czytał artykuł i dalej nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec dziewczynki posunął się do takiego czynu. Patrzył na mężczyznę na zdjęciu, wzbierała w nim złość. W artykule znajdowały się dane, umożliwiające dobroczynicom i filantropom finansowe wspieranie walczącej o życie dziewczynki. Mężczyzna wiedział, co musi zrobić.

Jeszcze tego samego dnia udał się pod dom Michała i Anny. Cekał na ławce, aż zobaczy mężczyznę samego. Gdy wreszcie zapadła noc, Michał wyszedł

z domu, by wyrzucić śmieci. Marcin rzucił się na niego, zatykając usta chusteczką nasączoną eterem – środkiem usypiającym. Zaciągnął śpiącego mężczyznę do samochodu i wywiózł za miasto. Tam udusił go paskiem od spodni. Pasek był skórzany, więc nie zostawił odcisków na szyi. Zdaniem Marcina była to zemsta sprawiedliwa, jednak niegodna tamtej zbrodni. Marcin zostawił ciało w lesie. Wtedy przypomniał sobie, że w dzieciństwie czytał artykuł o mężczyźnie, który zabijał swe ofiary, a na miejscu zbrodni zostawiał zawsze buciki dziecięce. Gazety nazwały go „Pan

Prezencik”. Chcąc upozorować powrót mordercy, którego nigdy nie znaleziono i uznano za zmarłego, gdyż morderstwa nagle ustały, Marcin postanowił kupić podobne buciki do tych, które zostawiał jego poprzednik kilkanaście lat temu. Nie mógł znaleźć otwartego sklepu, więc znalazł w sieci ofertę dotyczącą różnych bucików. To było to. Buciki przypominały te, które morderca niegdyś zostawiał na miejscu zbrodni. To właśnie był ten moment, gdy Marcin stał się „Finisem”, dokładnie wtedy, kiedy nabył buciki z aukcji o tytule „Buciki dziecięce na sprzedaż. Nienoszone”.

Agata Michnowska

### Kaiserschmarrn czyli austriacki omlet cesarski

Co warto przywieźć z podróży? Podobno pocztówki oraz przepis na lokalne danie. Miłośnicy kultury austriackiej na pewno słyszeli o słynnym omlecie cesarza Franciszka Józefa. Istnieje wiele legend dotyczących jego powstania. Jedni twierdzą, że cesarzowa Elżbieta odmówiła zjedzenia nowego dania, bo uznała je za tuczące, co wykorzystał wspomniany monarcha, według innych zaś omlet zawdzięcza swój niezwykły wygląd zdenerwowanemu farmerowi, który przygotowywał danie dla podróżującej przez Alpy pary cesarskiej. Która wersja jest prawdziwa? Tego nigdy się nie dowiemy.

2 jajka  
pół szklanki mleka  
pół szklanki mąki  
szczypta soli  
łyżeczka cukru waniliowego  
łyżka cukru pudru  
garść rodzynek  
powidła/ konfitura/ dżem



By Takeaway (Own work) [CC BY-SA 4.0 (<https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/>)], via Wikimedia Commons

W misce ubijamy białka i sól na sztywną pianę. W drugiej miksujemy żółtka z mąką, cukrem waniliowym, mlekiem i rodzynekami. Delikatnie łączymy masy. Przelewamy na rozgrzaną patelnię posmarowaną masłem. Smażymy na średnim ogniu do zarumienienia. Przed podaniem dzielimy omlet na mniejsze części za pomocą widelca. Posypujemy cukrem pudrem i dodajemy powidła.

Warto wypróbować także serową wersję tego przysmaku – Topfenschmarrn.

Pod jednym DACH-em, nr 4, 2017

ISBN 978-83-65483-51-5, ISSN 2451-392X

Redakcja: Michał Rudzik

Korekta: Katarzyna Gnacińska, Judyta Wolniaczyk,

Konrad Kozanecki

Ilustracje: Autorzy; Zdjęcie na okładce: Dominika Gortych

Copyright by: Autorzy

Copyright by: Wydawnictwo Rys

Wydawca:

**Wydawnictwo Rys**

Dąbrowka, ul. Kolejowa 41

62-070 Dopiewo

tel. 600 44 55 80

[rysstudio@o2.pl](mailto:rysstudio@o2.pl)

[www.wydawnictworys.com](http://www.wydawnictworys.com)

